# „Połemkowskie” – transkrypcja czwartego odcinka podcastu „Życie na cudzym”

Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN i Michał Nogaś z Radiowej Trójki zapraszają na cykl rozmów z pisarkami i pisarzami „Życie na cudzym”.

[Michał Nogaś] Dzień dobry Państwu, Michał Nogaś, program trzeci Polskiego Radia. Wspólnie z Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN i Studiem Plan zapraszamy na kolejny odcinek podcastu Życie na cudzym. To jest cykl podcastów, które towarzyszą obecnej wystawie czasowej Muzeum "(Po)żydowskie. Sztetl Opatów oczami Majera Kirszenblata". Czy blisko 80 lat po wojnie czujemy się intruzami, czy jesteśmy już u siebie? Co zostało po nieobecnych, tych zamordowanych, jak i tych wypędzonych, wywłaszczonych czy przesiedlonych? I co my, dzisiejsi mieszkańcy, z tym dziedzictwem, tak materialnym, jak i niematerialnym, czynimy? Pięcioodcinkowy serial, który przedstawiamy, to rozmowy o tożsamości, świadomości, pamięci w tej części Europy, którą Timothy Snyder nazwał niegdyś skrwawionymi ziemiami. To jest czwarty odcinek naszych spotkań. Dzisiaj temat główny to połemkowskie, ale oczywiście w przypadku miejsca, o którym będziemy rozmawiać, to nie tylko połemkowskie, ale także między innymi pożydowskie. Państwa i moją gościnią jest dziś pisarka i szefowa Wydawnictwa Czarne, Monika Sznajderman. Dzień dobry.

[Monika Sznajderman] Dzień dobry Państwu, dzień dobry Michał.

[Michał Nogaś] To jest rozmowa na linii Warszawa-Wołowiec. Monika jest w swoim domu, no właśnie, na tych ziemiach, które są po, ale też bardzo teraźniejsze. Ale zacznijmy od po. Kilka lat temu ukazała się Twoja książka Pusty Las, która jest opowieścią o poznawaniu miejsca, w którym wspólnie z mężem, pisarzem Andrzejem Stasiukiem mieszkacie od długiego już czasu. I muszę oczywiście zacząć od pytania o Twoje pierwsze spotkanie z tym, co połemkowskie. Jakie to spotkanie było i czy w ogóle miałaś świadomość tego, że wkraczasz na to, co połemkowskie?

[Monika Sznajderman] To było już bardzo dawno temu, w latach… pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy dużo osób z mojego otoczenia, moich koleżanek i kolegów ze studiów etnograficznych zaczęło jeździć w takie dziwne, nieznane miejsce, o którym właściwie mało się wiedziało. Bo ani to Bieszczady, ani to Pieniny, ani to Tatry, no po prostu takie nic, Beskid Niski. I zaczęli tam jeździć, ja wraz z nimi i zetknęliśmy się z rzeczywistością, jakiej wcześniej nie znaliśmy. To znaczy, kiedy się było młodszym, jeździło się na Mazury i tak dalej, to też człowiek tam się trochę dziwnie czuł, ale nie zgłębialiśmy tego. Później, jak zaczęliśmy jeździć w Beskid Niski, to już byliśmy trochę dojrzalsi. Ale i tak, w pierwszej chwili, to wszystko przejmowało nas jakimś takim dziwnym uczuciem. Przede wszystkim co? Pustka, puste doliny, puste pozostałości po jakichś pojedynczych budynkach drewnianych, czasami na kamiennych podmurówkach. Krzyże, kapliczki, miejsca po studni, jakieś pozostałości po sadach, to znaczy jakieś po prostu zdziczałe sady. Takie różne znaki, które ta przestrzeń do nas wysyłała, ale które nic nam nie mówiły, choć wiedzieliśmy, że to są znaki. Bo to nie było miejsce podobne do niczego innego, z czym ja się przynajmniej zetknęłam wcześniej w życiu, jeśli chodzi o polską geografię. Może też powtarzam, byłam już dojrzalsza, nie byłam dziwna. Byłam dojrzalsza, nie byłam dzieckiem, kiedy zaczęłam tam jeździć, ale i tak niewiele wiedziałam, bardzo mało rozumiałam, bo to nie była wiedza powszechnie znana, kto tam wcześniej żył, kto zostawił tę Atlantydę, co się z nimi stało, z tymi ludźmi, którzy tu mieszkali, no bo ktoś musiał mieszkać, prawda, skoro były te miejsca po siedziskach ludzkich, były cmentarze, o których zapomniałam powiedzieć, były te krzyże, no nie spadły z nieba, tego nie zrobili kosmici, jacyś ludzie tu żyli. Co się z nimi stało? Ciężko było, trudno było tak naprawdę się czegoś dowiedzieć, bo nie było wtedy książek, to jeszcze była komuna, nikt takich książek nie wydawał, nawet chyba w podziemiu niewiele o tym pisano. A ludzie się bali, ci którzy… łemkowie, którzy jeszcze tam mieszkali, po prostu się zwyczajnie bali, bali się mówić. Trzeba było naprawdę sporo czasu z nimi przegadać i wódki wypić, żeby się ośmielili, a i to nieśmiało. Więc takie było moje pierwsze spotkanie pod koniec lat 70., że szłam jak po prostu, jakby ktoś przede mną jakiś teatr odgrywał, z tego ja niewiele rozumiem, ale wiem, że to jest strasznie przejmujące i że to strasznie mnie pociąga. I właściwie, jak zaczęłam jeździć w ten Beskid Niski, poznawać ludzi, rozmawiać z nimi, to się nie było, bardzo powoli poznawać tą historię, to już więcej nigdzie nie chciałam jeździć. To właściwie każdy weekend, każde wakacje to był Beskid Niski, bardzo różne miejsca. Bo Beskid Niski jest najdłuższym pasmem górskim w Polsce. Może nie jest najwyższym, ale jest najdłuższym. Ciągnie się aż mniej więcej od Krynicy po Komańcze. I nadal jego środek, tak zwane Przedbieszczadzie, kiedy już miniemy Dukle, idziemy dalej na wschód, to jest naprawdę dziki teren. No co powiedzieć, no po prostu to miejsce ma dla mnie nadal taką samą siłę przyciągania po 40 latach, jak miało wtedy, na początku.

[Michał Nogaś] Użyłaś słowa pustka. Ja myślę, że nie byłem wtedy w latach 70-tych pod koniec, czy w 80-tych w Beskidzie Niskim dopiero lata 90. to był mój czas odkrywania poszczególnych pasm górskich w Polsce. Ale z pierwszych wizyt poza pustką pamiętam też ciszę. I to są, myślę, dwa bardzo dojmujące uczucia. W twoim przypadku pewnie to było jeszcze bardziej ciche i jeszcze bardziej puste.

[Monika Sznajderman] Tak, oczywiście. To jest najcichsze, zdecydowanie najcichsze pasmo górskie i najbardziej puste w naszym kraju. Jest tu mało turystów, bo kiedy miałaby się tu rozwinąć turystyka? Tak naprawdę pierwsze poświęcone jej jakieś artykuły w piśmie Wierchy to były lata przedwojenne, konkretnie rok 1935. Wcześniej nikt w Beskid Niski nie jeździł. Jeżdżono w Tatry, jeżdżono w Romantyczne Pieniny, jeżdżono w Dzikie Bieszczady, ale w Beskid Niski? To był najmniej interesujący kawałek Beskidów. Był niemal całkiem wylesiony, był bardzo biedny, był niezwykle gęsto zaludniony. Jak to się mówi, dach przy dachu, dym przy dymie, zagroda przy zagrodzie, stajnia przy stajni. Wąziusieńkie kawałki ziemi przedzielone kamieniami. Ziemia też była kamienista. Nikt wtedy jeszcze nie dostrzegał uroku strumieni płynących łagodnie. Nie dostrzegał uroku dolin, takiej właśnie łagodności tego pejzażu. Takiego pejzażu na ludzką miarę, nie przerażającego ogromem, ale zarazem urzekającego właśnie taką łagodnością, taką przyjaznością. Choć dla ludzi tu mieszkających to nie była przyjazna ziemia. Praca była strasznie ciężka i bieda była bardzo duża. I dopiero w 1935 roku, tak jak powiedziałam, pismo Wierchy poświęciło swoje łamy właśnie Beskidowi Niskiemu, odkrywając to, co ja właśnie przed chwilą powiedziałam. No ale zaraz potem przyszła wojna, potem przyszło wysiedlenie do Związku Radzieckiego, później przyszła akcja Wisła i później nastała pustka. I ta pustka trwała, taka pustka całkowita panowała do podejrzewam połowy lat sześćdziesiątych, czy też do, no powiedzmy w latach pięćdziesiątych niektórzy łemkowie zaczęli wracać. Znaczy wróciło bardzo niewiele rodzin, ale ktoś tam zaczął wracać. I wraz z nimi powoli pojawiali się turyści. No ale to nigdy nie był teren masowo nawiedzany przez turystów. To nigdy nie był teren turystyczny. No w latach siedemdziesiątych chodzili zapaleńcy. Ale nadal było tu bardzo pusto i do tej pory jest pusto. Oczywiście są miejsca, w których w jakimś czasie świątecznym, wolnym od pracy, robi się mała zgęstka, ale natychmiast się rozpuszcza w przestrzeni i kiedy ludzie wyjeżdżają, to znowu nastaje ta taka naprawdę, naprawdę pusta, cicha, pustka, która cały czas przypomina o tym, co tu było kiedyś. Znaczy cały czas przywołuje ten obraz, że tu kiedyś było zupełnie inaczej. Każe o tym myśleć, każe sobie to wyobrażać, jak to było, jak tuż właściwie wieś graniczyła z wsią. Wszystkie te wsie były, tak jak powiedziałam, bardzo gęsto zaludnione. Musiał być wielki rejwach i dużo głosów się mieszać w powietrzu. Zwierzęta. Zwierzęcych głosów, ludzkich głosów.

[Michał Nogaś] W 2019 roku ukazała się Twoja książka „Pusty Las”. Opowieść o miejscu, które stało się Twoim miejscem na ziemi, ale mam takie wrażenie, pamiętam to z lektury tej książki wtedy, że nad taką książką to właściwie pracuje się dekadami, przez całe życie, żeby dać taki osobisty obraz miejsca, które jest po i stopniowo na nowo zasiedlane. W jaki sposób Ty nad tą książką pracowałaś? Jak w ogóle odkrywałaś tajemnicę tej ziemi?

[Monika Sznajderman] Bardzo długo nad nią pracowałam. Usiadłam do pisania, to był już dosyć szybki proces, ale musiałam tę książkę przemyśleć, a przede wszystkim przechodzić. Moja droga przez Beskid jest długa, bo zaczęła się od wizyt w Czarnym u Jurka Szczepkowskiego, który był takim pierwszym z mojego kręgu towarzyskiego osadnikiem. Właśnie w Czarnym, w którym były wtedy tylko dwa domy i szkoła. W tej chwili są tylko dwa domy, bo szkoły już nie ma. Mieszkałam też przez kilka miesięcy wakacyjnych w takim domu zagubionym w lasach pomiędzy Chyrową a Myscową. Aż wreszcie kupiłam pierwszy dom w Olchowcu, to była chyża kryta strzechą. Chyża, czyli łemkowska chałupa. Taki typ długiej chałupy, w której z jednej strony mieszkały zwierzęta, a z drugiej strony ludzie. Później mieszkałam w Czarnym przez siedem lat. W tym Czarnym, w którym mieszkał Jurek i wtedy wyjechał do Ameryki. Więc mieszkałam tam siedem lat. Później mieszkałam przez rok w takiej dużej wsi maziarskiej Łosie, a później od 97 już w Wołowcu. Tak że poznałam różne miejsca w Beskidzie Niskim, no i swoje tam wychodziłam. Swoje tam… Swojego tam doświadczyłam. To się musiało we mnie jakoś mocno osadzić, ale myślę, że takim zwieńczeniem tego procesu to była budowa domu. Własnego domu. Zasadzenie mnóstwa drzew wokół. I to tak, ta budowa domu była zarówno taka fizyczna, realistyczna, znaczy materialna, po prostu budowaliśmy dom. A z drugiej strony była taka symboliczna, bo nagle miałam tam jakieś korzenie. Znaczy mam tu jakieś korzenie i co właściwie z tego wynika? Skąd ja się tu w ogóle wzięłam? Takie pytania, skąd ja się tu wzięłam, co ja tu robię, to chyba są takie klasyczne pytania towarzyszące każdej osobie, która zmienia swoje miejsce pobytu, czy to podróżuje, czy gdzieś się przenosi. Nagle znajduje się w zupełnie obcej przestrzeni. Ma za sąsiadów zupełnie innych ludzi. W naszym przypadku są to także ludzie mówiący innym językiem, z inną kulturą religijną. Więc takie pytania są jak najbardziej zasadne. Co ja tu właściwie robię? Dlaczego ja porzuciłam wygodne życie w mieście, które wedle wszelkich reguł powinno mi najbardziej odpowiadać, ale życie się nie stosuje do reguł. I Beskid tak mocno mnie pociągnął, że te reguły okazały się nic nie warte. Więc i ten dom jak zaczęliśmy budować i skończyliśmy, i nagle poczułam, że mamy tu jakieś korzenie, że…, że…, no że właśnie jestem tu, ale nadal się pytam siebie co ja tu robię. A skoro już zawłaszczyłam jakąś przestrzeń, skoro już skorzystałam z tej pustki, bo przecież mogłam się tu osiedlić, dlatego że tamtych poprzednich moich mieszkańców, moich sąsiadów niegdysiejszych, już nie ma. Więc musiałam sobie zadać pytanie co ja tu robię i co ja jestem winna temu miejscu, tym ludziom. No i stąd się wzięła ta książka. I tak jak powiedziałam, ona też jest bardzo wychodzona. To znaczy no ja mam ten Beskid trochę w nogach, a przez nogi w głowie i w sercu, bo to jakoś nie umiem tego oddzielić od siebie. Jestem osobą chodzącą i dopiero wtedy czuję, że gdzieś jestem.

[Michał Nogaś] Ale żeby tę książkę napisać, żeby w ogóle poczuć historię tego miejsca i klimat musiałaś rozmawiać. Ludzie długo trzymali w sobie tajemnicę tego miejsca, tajemnicę jego historii. Kto się zaczął przed tobą otwierać? Z kim nawiązałaś wspólny język, żeby zacząć lepiej rozumieć?

[Monika Sznajderman] Mamy sporo takich bliskich osób tutaj w różnych miejscach, w tych właśnie miejscach, w których mieszkałam. Mamy przyjaciół w Ropiance, w Olchowcu, w Wołowcu, mamy wspaniałych sąsiadów, których rodzina ma ciekawą historię, bo to są ludzie jedyni z naszej wsi niewysiedleni ani na wschód, czyli do obecnego Związku Radzieckiego, ani w ramach akcji Wisła na zachód, czy północny zachód, ponieważ ojciec naszego sąsiada urodził się w Ameryce, dokąd pod koniec XIX wieku wyemigrował jego ojciec i matka. No tutaj wiadomo przecież, że z Galicji była wielka, wielka migracja zarobkowa, głównie do Stanów Zjednoczonych, też do Brazylii na przykład, ale akurat rodzina naszego sąsiada osiedliła się w Stanach i kiedy ten ojciec wrócił przed wojną i przyszli w ramach akcji Wisła, o której mam nadzieję, że jeszcze chwilę powiemy za chwilę, to kiedy przyszło po niego wojsko, żeby wysiedlać go razem z synem i z całą rodziną, pokazał amerykański paszport i powiedział, że nie, proszę bardzo, tutaj. UB miało problem z tymi ludźmi, bo ich było całkiem dużo, co z nimi robić. Akurat w tym wypadku zostawili naszych sąsiadów na miejscu, choć i tak oni się przenieśli do sąsiedniej wsi, bo tu było po prostu pusto, dziko, niebezpiecznie. I w tym miejscu mieli mieszkać inni ludzie. Więc ci nasi sąsiedzi najbliżsi, to dla mnie też była kopalnia informacji, bo bardzo się z nimi lubimy, znamy się już kilkadziesiąt lat i ich historie znamy dobrze. No teraz ludzie już, ci młodsi, ci starsi ludzie się przede wszystkim oczywiście bardzo bali. Młodzi, którzy jakby dają nowe życie kulturze łemkowskiej, to są bardzo często ludzie wychowani na zachodzie i tam mieszkający, Polski oczywiście. I oni się już tak nie boją i z nimi też można o tym porozmawiać.

[Michał Nogaś] To może teraz o Akcji Wisła, a właściwie o dwóch akcjach przesiedleńczych, wysiedleńczych. Wspominałaś o tym Moniko, ale wróćmy jeszcze pamięcią do tamtych wydarzeń. Zanim wysiedlono łemków gdzieś na zachód, na północ Polski, to wcześniej jeszcze były oferty nie do odrzucenia dla wielu spośród nich, czyli obietnica raju za wschodnią granicą powstającego po II Wojnie Światowej państwa. Jak to wyglądało?

[Monika Sznajderman] Może zacznę od tego, że… znaczy o czym już dwa razy powiedziałam, że rusińskie wsie były bardzo gęsto zaludnione. Dla porównania, w tej chwili we wsi Wołowiec mieszka na stałe, nigdy nie pamiętam, 14 albo 16 osób. Aż do 45 roku w Wołowcu mieszkało ponad 800 osób. Więc proszę sobie wyobrazić, w jak obszernej, nie wiem, kieszeni, my w tej chwili żyjemy, w jak obszernej pustce po tych ludziach, po 131 gospodarstwach i po ponad 800 ludziach. I co się takiego stało, że nagle w tymże właśnie 47 roku nastała ta pustka? Najpierw był 45, kiedy w ramach akcji czyszczenia polskich elementów niepolskich i dzięki niezwykle szeroko prowadzącej propagandzie, namawiającej ludzi na to, żeby jechali właśnie na ten wschód, czyli na tereny dzisiejszej Ukrainy, zasadniczo to były takie trzy powiaty, Lwowski, Tarnopolski i Charkowski. Przynajmniej jeśli chodzi o naszą wieś i w ogóle o łemków z tej okolicy. Więc ta propaganda mówiła, że tam będzie im wspaniale, że tam będą u swoich, że będą na nich czekać płoty, nie wiem, z kiełbasy i ziemia jak śmietana i domy jak z bajki. I oni, niektórzy z nich to wszystko wzięli za dobrą monetę i uwierzyli. Propaganda była naprawdę bardzo, bardzo, bardzo szeroko zakrojona i intensywna. No tylko że… i właściwie to zależało od wsi, od tego kto był w niej liderem, czy wieś się zapisała na wyjazd, czy nie. Bo na przykład były wsie, w których jakimś mocnym takim głosem wiodącym był ktoś, kto był mądry i mówił, słuchajcie tam wcale nie ma takiego raju, tam jest raczej piekło. Co oczywiście potem okazało się prawdą, bo tam na miejscu nie było… nie czekało na nich nic, poza jakimiś dziurami w ziemi, w których mogli zacząć budować sobie ziemianki, głód, bieda i ciężka praca. No ale wtedy, kiedy roztaczano takie bajeczne zupełnie wizje, no zdarzali się ludzie, którzy mówili – nigdzie nie jedziemy. To mógł być ksiądz na przykład. Nigdzie nie jedziemy, bo tam czeka nas właśnie to, o czym przed chwilą powiedziałam. I wtedy wieś, wtedy z tej wsi pojedyncze rodziny na przykład decydowały się na wyjazd. Z Wołowca z kolei wyjechało na te ponad 808… na ponad 800 osób, 740 osób wyjechało, zapisało się na wyjazd. I tu się dopiero zaczynały schody. Bo kiedy już podstawiano, kiedy ci ludzie byli już przygotowani do wyjazdu, to nagle się okazywało, że to już nie jest dobrowolny wyjazd.

A w międzyczasie, bo ta akcja trwała, w międzyczasie powracali pojedynczy ludzie, którzy tam już wyjechali, zostali wywiezieni, ale przekonali się jak tam jest i przekradali się z powrotem. I oni zaczęli właśnie mówić prawdę, jak tam jest. No i ludzie zaczęli się rozmyślać. Tylko, że to się właśnie okazało niemożliwe. Więc byli trzymani pod strażą. Czasami długie tygodnie. Bydło tam padało z głodu. Oni byli oczywiście zagnani z całym swoim dobytkiem, z którym mieli się przenieść. Nie było siana. Ludzie chorowali. Siedzieli o głodzie i chłodzie, na deszczu, na placu dworcowym. Więc były takie sytuacje na przykład, że jedna z wsi po prostu uciekła. Na pewno wieś Radocyna, zanim ich wywieziono, już się zapisali na wyjazd, ale właśnie doszły do nich te słuchy, jak tam jest źle i mężczyźni uciekli do lasu, a kobiety błagały wojsko, które po nich przyszło, żeby zabili ich tu na miejscu i jeszcze zapłacą za każdą kulkę, tak bardzo nie chcą jechać. Z kolei na przykład, kiedyś tak zwierzęta padały z głodu, zwierzęta należące chyba do Zdyni, Żdyni po rusińsku, że musieli je wygnać z powrotem na łąki koło Radocyny, żeby się tam napasło i przeczekało do następnego etapu, kiedy będzie można znowu ruszyć z pociągami. I wtedy chyba też tych ludzi cofnięto, wydaje mi się. W każdym razie ta dobrowolność kończyła się na dworcu i już stawała się przymusem. No i potem nagle w Wołowcu i w różnych innych wsiach też, zapanowała ta pustka. Ale niedługo się cieszono tym, że nagle jest więcej ziemi, że nagle są puste chałupy, bo przecież przyszedł, przyszedł 47 r., akcja Wisła, kiedy już tutaj nie było żadnego… żadnej dobrowolności, żadnego złudzenia. Po prostu przymusowo wysiedlono wszystkich na zachód i na północny zachód Polski. I w Wołowcu, tak jak powiedziałam, została tylko jedna rodzina z ponad 800, aż nie mogę sobie wyobrazić, jak oni się tutaj mogli czuć, która się wyprowadziła do Gładyszowa, ale przyjeżdżała tu kosić, bo tu mieli łąkę, i po prostu musieli prowadzić gospodarstwo. Oni wrócili w 1953, ci moi sąsiedzi, w 1953 musieli od nowa zbudować dom. Widzieli, jak na ich oczach rozbierana jest czasownia prawosławna, o tym jeszcze powiem, i cerkiew prawosławna nieskończona jeszcze, bo zaczęto budowę przed wojną i przewożone są do PGR-u w Krzywej Jasionce, żeby mogły posłużyć jako budulec dla tamtejszych budynków. Więc tak to było z tą akcją Wisła. Oczywiście jeszcze było Jaworzno, obóz pracy w Jaworznie koncentracyjny, który powstał na miejscu jednego z podobozów KL Auschwitz. I tam zamykano Łemków za jakieś przewiny polityczne, które były zupełnie nieuzasadnione. To były represje niczym nieuzasadnione. Natomiast dawały wyraz temu, jak bardzo polskie państwo próbuje się obcego etnicznie narodu pozbyć, rozproszyć, ukarać, zniszczyć. Naukowcy akcji Wisła i towarzyszący… Niektórzy naukowcy akcji Wisła i towarzyszące jej cierpienia Rusinów, takie właśnie jak w obozie w Jaworznie, przecież tam bardzo dużo ludzi umierało, nazywają etnobójstwem.

[Michał Nogaś] Mówiłaś o procesie przesiedlania, wysiedlania twoich dawnych sąsiadów, tych których nie miałaś okazji spotkać, ale piszesz o tym w „Pustym Lesie”, że możecie tam mieszkać tylko dlatego, że ich już tam nie ma. Nie ma ich rodzin tam mieszkających. Ale jedną rzeczą są ludzie, którzy mieszkali na tym terenie, ale drugą rzeczą jest architektura i ślady. Jak próbowano ich obecność wymazać także na tym poziomie?

[Monika Sznajderman] No wiesz, dom, architektura jest drewniana. Drewniana architektura bardzo łatwo ulega spaleniu przede wszystkim, też zniszczeniu, także celowemu niszczeniu i celowemu paleniu rzecz jasna. I tak jak wspomniałam przed chwilą, rozbierano takie domy po to, żeby zbudować z nich nowe życie. Czyli np. w naszym wypadku w nieodległy PGR Krzywa Jasionka, gdzie jakby przemieszczono, w jakimś sensie domy np. z Wołowca i pewnie nie tylko, w stanie rozłożonym na deski. Czyli po prostu nagle to, co stało w Wołowcu, stanowiło budulec, zaczęło być budulcem dla nowych domów, które powstały w PGR-ze dla ściągniętych z Polski pracowników tego PGR-u i dla stajni, dla obór i tak dalej. Więc taka wędrówka, wędrówka drewna, wędrówka życia czyjegoś, wędrówka tych śladów. Potem nastąpił taki proces trochę jakby odwrotny, bo na przykład kiedy upadł PGR, niektóre budynki rozbierano i rozprzedawano. I my na przykład kupiliśmy trochę desek i mamy z nich parapety i jeszcze inne rzeczy i te deski z dużym prawdopodobieństwem pochodzą właśnie z Wołowca, czyli wróciły w pewnym sensie na swoje miejsce. To wszystko to było bezpańskie, to znaczy można było z tym zrobić, co się chciało. Nikt tego nie pilnował. Właściwie jeszcze do niedawna krzyże, kapliczki, których tu jest bardzo dużo, one stoją na rozstajach, ale też stoją w miejscach, w których kiedyś były domy, przed tymi domami, bo to był bardzo silny ośrodek kamieniarski, w Foluszu, w […], w Budakach i co bogatsi gospodarze sobie zamawiali takie krzyże. I one właściwie też bardzo długo miały status bezpańskich, powiem szczerze, nie wiem, jak jest teraz, ale też źli ludzie niszczyli je. Niszczyło je też bydło, które było sprowadzane z Podhala, bo te bezpańskie ziemie, te puste ziemie, które później weszły we władanie Agencji Rolnictwa czy różnych spółek rolniczych, nie wiem dokładnie, z Państwowej Spółdzielni Rolniczej, nie wiem dokładnie, ale one były dzierżawione góralom z Podhala, którzy przychodzili z Nowego Targu, z Zakopanego, którzy przychodzili tutaj na całe lato na wypas ze swoimi zwierzętami. Więc w opustoszałych cerkwiach były trzymane zwierzęta bardzo często, owce, krowy, konie. Krzyże były niszczone, czy to celowo, czy to właśnie niechcący przez zwierzęta, które się o nie ocierały i niszczyły. Więc to tak właśnie wyglądało. To był taki bezpański krajobraz, w którym każdy mógł coś zrobić i coś złego zrobić i nie było tu żadnej ochrony. No tak właśnie, tak było. Cerkwie w dużej mierze zostały, cerkwie, które były grekokatolickie… Przede wszystkim tak, no cerkwie były przejmowane przez kościoły i tam… przez Kościół Katolicki i tam zaczęły się odbywać obrządek właśnie katolicki. Po prostu zostały zabrane przez kościół i użytkowane. To się stało w bardzo dużej ilości cerkwi. Natomiast na przykład w Orchowcu, gdzie też miałam dom, jest przepiękny kościół, cerkiew, cerkiewka i tam, ona jest do tej pory grekokatolicka i tam się odbywają nabożeństwa i katolickie, i grekokatolickie. Ale większość tych cerkwi została po prostu zebrana, zawłaszczona przez Kościół Katolicki. Tak, tak że no robiono dużo, żeby nie mówić o tych miejscach, o tym miejscu, żeby nie otaczać tego żadną ochroną, żeby to było właśnie takie bezpańskie, puste, dzikie. Bo tutaj też trzeba powiedzieć od razu, bo były takie zamiary, żeby no kiedyś ją…, kiedy się władze pozbędą tych okropnych „Ukraińców”, mówię w cudzysłowie Ukraińców, bo bardzo, bo Łemkowie uważali się w dużej mierze, w dużej swojej części za po prostu Rusinów, za Łemków, a nie za Ukraińców. Ale władze na przykład w ramach akcji Wisła wywiozły ich jako Ukraińców, bo to były represje przeciwko Ukraińcom, Ukraińcom i tak zwanym bandom UPA. Choć, to może powinnam powiedzieć, że wcześniej większość Łemków nie miała z nim nic wspólnego. Więc plan był taki, że na te opustoszałe tereny, w taką przestronną pustkę, przywiezie się ludzi z Polski, spod Łodzi i spod Tarnowa, i z okolic Poznania, i właściwie z bardzo wielu miejsc i oni zasiedlą te tereny i je spolszczą. No ale udało się to moim zdaniem w nikłym procencie. Do Wołowca na przykład nikt nie chciał przyjechać, bo tu było tak ciężko żyć, daleko, drogi z […] w ogóle nie było, ciężka praca i takie długowieczne, bardzo srogie teściowe. Taki matriarchat jednak pewien panuje u Rusinów i właśnie babki, teściowe mają bardzo dużo do powiedzenia, więc jest taka trochę legenda, że tutaj się bały przychodzić młode kobiety, no bo to już był taki trochę wyrok dożywotni, wyrwać się z Wołowca było bardzo trudno, a w zamian dostawało się tylko pracę, ciężką pracę. Więc na przykład do Wołowca nikt nie wrócił. Ale nikt nie przyszedł obcy i właściwie jak myśmy się tu osiedlili, to było osiem domów i to wszystko były domy rusińskie, przy czym nie wszyscy wracali do siebie, znaczy nie wszyscy byli stąd. Bo zasada była taka, że w tych pustych dolinach, było naprawdę niebezpiecznie żyć, więc ludzie wracali często tam, gdzie już ktoś był, tak jak tutaj był Michał Hutyriak jak z rodziną, właściwie jego ojciec Piotr. I po prostu potem tutaj dojechała jeszcze jedna rodzina, potem ktoś, kto nie był stąd, tylko z Czarnego, ale tam nie było nikogo, więc ta rodzina osiedliła się też w Wołowcu. Tak że do Wołowca przyjechało, wróciło osiem rodzin, ale nikt obcy, nikt tutaj, żadnego Polaka tu nie było, nikt obcy z Polski, z terenu Polski się tutaj nie osiedlił. Udało się ściągnąć oczywiście trochę ludzi do PGR-u, ale ten PGR nie jest duży. No i po trosze pewnie do poszczególnych wsi też, ale to nie był masowy napływ, tak żeby się udało całkowicie te tereny spolszczyć, bo jednak trochę ludzi, nie umiem teraz powiedzieć ile, ale wróciło i na przykład taka wieś Bartna jest w dużej mierze rusińska w tej chwili.

[Michał Nogaś] Jest życie w Beskidzie Niskim, jak Państwo słyszą. Nie tylko Monika Sznajderman jest gościnią naszego podcastu, ale też psy sobie rozmawiają w tle i widać, że świat istot różnych, ludzkich i nieludzkich tam się przenika. A powiedz proszę, jakie ślady zostały do dziś? Na co jeszcze połemkowskiego można trafić, kiedy się przyjedzie w Wasze okolice?

[Monika Sznajderman] No, śladów jest dużo, bo są te krzyże, o których powiedziałam, które na przykład w Świeżowej Ruskiej, wsi za górą, są wielkiej, gigantycznej wręcz wysokości. To jest jakiś taki ewenement, że akurat tylko tam. Są cmentarze. Coraz częściej zadbane, ale niektóre są nadal zarośnięte i zaniedbane, i tych cmentarzy jest sporo. W każdej wsi po prostu jest taki cmentarz. Ale coraz częściej, jak powiedziałam, są zadbane, dbają o nie różni ludzie, harcerze na przykład, ludzie dobrej woli, krzyże są konserwowane, naprawiane. Są te ślady, są te stare studnie, na które się trafia idąc, trzeba uważać, żeby nie wpaść. Są sady, grusze, śliwy, jabłonie. W Parku Magurskim próbuje się je, zdaje się, introdukować, znaczy wsadzić te stare odmiany, żeby przywrócić tamten drzewostan. Są na przykład duże skupiska pokrzyw nagle i to właściwie wiadomo, że tam był gnój i że tam była jakaś stajnia. To są takie ślady, które ewidentnie są znakami tamtej cywilizacji, która już się skończyła. Więc te wszystkie ślady, o których powiedziałam, te krzyże, te stare studnie, te kapliczki, te resztki domów, cerkwiska, kamienie, które wyznaczały obrys cerkwi i były ich fundamentem. Cmentarze w lepszym lub gorszym stanie zachowania, to wszystko to są ślady, po których chodzi się jak po książce i się je czyta, czyta się nazwiska na grobach, o ile da się je przeczytać. One są często bardzo mało widoczne, jeśli postument jest nieodnawiany. Pisane niewprawną ręką tych właśnie kamieniarzy z tych wsi, o których mówiłam, które są niedaleko od Wołowca. Pisane z taką znajomością alfabetu, jaką posiadali ci rzemieślnicy, więc są bardzo różne zapisy. Tu spoczywaję, tu spoczywaje, tu spoczywajet, tu spoczywa. Ale można oczywiście przeczytać imię i nazwisko, i się czegoś dowiedzieć, pójść dalej śladem akt, na przykład metrykalnych, parafialnych i poszukać tych ludzi, tak jak ja robiłam. Poszukać ich rodzin. Zobaczyć na co umarli, bo są też w księgach parafialnych, w aktach zgonu, podane przyczyny. Czasem widać na przykład, że to była cholera, że to była jakaś epidemia albo epidemia jakiejś choroby dziecięcej. Bo nagle bardzo dużo dzieci umiera w tym samym czasie. Więc w połączeniu z wiedzą i z umiejętnością czytania źródeł archiwalnych, te ślady dają nam bardzo dużo. Mogą nam opowiedzieć o życiu takiej wsi, takiego Wołowca, do czasu II Wojny Światowej.

[Michał Nogaś] Kiedy byłem w Beskidzie Niskim, widziałem te krzyże. W waszej okolicy będąc widziałem też kamienne wejścia do dawnych domów, pozostałości. Wspominałaś też o czasowniach. W okolicach Gorlic, niedaleko was, można znaleźć taką jedną budowlę. Czyli człowiek się trochę namęczy, ale znajdzie.

[Monika Sznajderman] Tak. Człowiek się trochę namęczy, oczywiście, ale znajdzie, jeśli wie czego szuka. A jeśli ma jakąś wrażliwość, to zacznie szukać, bo to go tak bardzo uderzy. Te obrazy w nim zostaną i będzie szukał, będzie pytał.

[Michał Nogaś] Właśnie, chciałem zapytać, Monika, czy zdarza się tak albo być może tak się zdarzyło po premierze „Pustego Lasu”, że ta książka, twoja opowieść, wzrost świadomości na temat historii miejsca, w którym mieszkacie, które opisujesz – to wszystko sprawiło, że zaczęli przyjeżdżać do Beskidu, w Beskid, ludzie, którzy chcieli zrozumieć, jakie jest to połemkowskie. Jeszcze go dotknąć.

[Monika Sznajderman] Ja nie wiem czy to jest wpływ mojej książki akurat, ale ludzie, oczywiście zaczęli przyjeżdżać. Coraz więcej jest takich świadomych ludzi – o tak bym powiedziała. Chodzą, zachodzą, czasem pytają o coś. Ale także mają już większą wiedzę, większą świadomość. Tak jak mówię, nie wiem, czy to jest wpływ mojej książki akurat, ale jakiejś ogólnie szerszej wiedzy na te tematy. Bo przecież pojawiła się i książka Pawła Smoleńskiego „Syrop z Piołunu” i cała masa historycznych książek o akcji Wisła. I etnograficznych. To wszystko jest ostatnie 20 lat, 25 lat, może 30. I jakby to oddziałuje. Ludzie już mają się skąd dowiadywać. I właściwie teraz jak człowiek nie wie, to tylko dlatego, że nie poszukał, nie sięgnął do książki. Nie poszukał sobie jakiejś literatury.

[Michał Nogaś] Wspomniałaś o książce Pawła Smoleńskiego. On pisał swoje reportaże w tej książce, zawarte przynajmniej w pierwszej edycji „Syropu”, w czasach, w których przeszłość polsko-ukraińska, polsko-łemkowska budziła ogromne emocje. Byli ci, którzy uważali że to są wyłącznie polskie ziemie i to co niegdyś należało do naszych braci łemków czy Ukraińców, należy wypalić i budować wszystko od nowa. Czy dzisiaj jest inaczej? Czy ta świadomość sprawia też, że mniej jest już złych emocji wokół przeszłości tego miejsca? Jak to widzisz będąc tam?

[Monika Sznajderman] Wiesz co, ja tutaj tego nie odbieram w taki sposób. Ja mam głęboką świadomość bardzo mocnych głosów takich pro narodowościowych, które wzywają do budowy polskiej Polski. Ale ja się staram tych głosów nie śledzić, nie słuchać. A tutaj one nie dochodzą. Na pewno wszyscy wiemy, jak mocna jest prawica w Polsce, skrajna prawica, która chciałaby, żeby w Polsce nie było ani uchodźców, ani żadnych Ukraińców i żeby żyli tu tylko Polacy, jakby Polacy mogli istnieć, nie będąc mieszanką najrozmaitszych genów. Ale oni o tym nie wiedzą i myślą, że jest jakiś Polak […], który powinien zamieszkiwać polskie ziemie. Ale tutaj wydaje mi się, że nie ma takich nastrojów. Jeśli już to na przykład widać niechęć poprzedniej władzy było bardzo mocno do na przykład takich inicjatyw jak Łemkowska Watra, najważniejszy festiwal łemkowski w Polsce, który się odbywa już kilka dziesiąty któryś raz. Bo za czasów PiS on nie był dofinansowywany w ogóle na przykład. Więc to było na poziomie rządowym. To było bardzo widoczne. Natomiast tutaj na miejscu będąc, nie odczuwa się tego w żaden sposób.

[Michał Nogaś] A jak byś chciała, żeby w przyszłości wyglądało to miejsce? Jakiej pamięci byś oczekiwała dla Łemków, Ukraińców, tych wszystkich, którzy mieszkali na terenach w Beskidzie Niskim, o których pisałaś w „Pustym Lesie”? Co jeszcze trzeba zrobić, żeby ten połemkowski świat, no nie odtworzyć, bo to się nie da, ale upamiętnić w sposób należny?

[Monika Sznajderman] To jeszcze jak już powiedziałeś, że łemkowskich i innych, to bym też dodała, że w Beskidzie oprócz Łemków mieszkali też…

[Michał Nogaś] Bojkowie też mieszkali.

[Monika Sznajderman] Bojkowie to w Bieszczadach, tak. Ale mieszkali też Żydzi przecież.

[Michał Nogaś] O to cię będę pytał za chwilę.

[Monika Sznajderman] Dobrze, dobrze. Ja myślę, że świat się zmienia i wsie łemkowskie też się zmieniają. Najlepszy dowód, że myśmy tu wybudowali dom, a za nami jeszcze parę innych osób. I tak jest wszędzie. Myślę, że to, co możemy dać od siebie, to jest właśnie świadomość tego, że nie jesteśmy tu pierwsi. Świadomość tego, że nie jesteśmy tu pierwsi. Świadomość tego, że to wstyd być kolonizatorem i kolonizować na rozmaite sposoby. Miejsce, w którym przed tobą mieszkali inni ludzie i to dużo dłużej niż ty. Więc dla mnie wyjściem jest może nawet nie jakieś materialne upamiętnienia w rodzaju pomników, choć dobrze, że są te tablice, które są we wsiach, w dolinach wysiedlonych wsi rusińskich, gdzie można przeczytać, jak się ta wieś nazywała po rusińsku i kto w niej mieszkał, ile osób, jakie były jej losy. To jest dobre. Natomiast ja jestem zawsze za tym, żeby rozwijać świadomość miejsca. Uwrażliwiać na jego historię. Puszczać wodze wyobraźni i wyobrażać sobie, jak to mogło być. Oczywiście w oparciu o wiedzę, którą, tak jak powiedziałam, już można i już jest skąd czerpać. Wiedzmy, dokąd trafiamy. Traktujmy to miejsce z szacunkiem. Delikatnie. Nie bądźmy kolonizatorami. Nie narzucajmy swojego spojrzenia. I tak samo swojej architektury. Ja mam dużo więcej wyrozumiałości na przykład dla ludzi, którzy całe życie mieszkali w chałupie drewnianej i marzyli o domu, bo wiem, z czym to się wiąże, i marzyli o domu murowanym i stawiają ten dom. Więc dla nich mam dużo więcej wyrozumiałości niż na przykład dla przybyszy z miast, którzy nie patrząc na tradycje architektoniczne danej okolicy, budują domy, które mają tylko wyrażać ich bogactwo, ich ego, ich wyobrażenie o tym, co jest piękne, w całkowitym oderwaniu od właśnie tradycji. Więc tego wszystkiego pilnujmy, żeby się zachowywać jak goście, którzy z czasem staną się gospodarzami, ale musi upłynąć trochę czasu i musimy się tego miejsca nauczyć.

[Michał Nogaś] Mówimy o Łemkach przede wszystkim w naszej rozmowie, ale ponieważ to jest podcast „Życie na cudzym” i o różnych „po” rozmawiamy, to chciałbym byśmy teraz od połemkowskiego przeszli do tego, od czego zaczęliśmy cykl naszych rozmów z Agnieszką Dobkiewicz i w związku z wystawą, którą można oglądać, w Muzeum Historii Żydów POLIN, porozmawiali przez chwilę o pożydowskim. Dlatego, że tereny, które są teraz twoje, wasze, Beskid, okolice Gorlic, Wołowca, to była ziemia bardzo gęsto zaludniona, jak mówiłaś o tym wielokrotnie dzisiaj, ale to nie tylko byli Łemkowie, mówię o tych, których już tam nie ma, ale także Żydzi. Wiem, że to jest kolejny temat, który badasz, nad którym pracujesz, który zgłębiasz i że kolejna książka, którą napiszesz, będzie właśnie poświęcona Żydom z twoich okolic, Gorlic i nie tylko. Jaki to był świat żydowski tam? Jakie jest to ewentualne pożydowskie i o czym będziesz pisać?

[Monika Sznajderman] W każdej wsi tutaj żyli Żydzi. Było to zwykle kilka, kilkanaście osób, którzy jako pierwsi zginęli w czasie wojny i ślad po nich nie został żaden. Tylko w dokumentach archiwalnych, porozrzucanych w różnych archiwach, bo w pamięci już nie, to byli Żydzi wiejscy. W ogóle o Żydach wiejskich się mało w Polsce wie, mówi, bo oni nie tylko prowadzili karczmy i sklepy, ale też byli po prostu rolnikami. Nam mówiono, że mieszkamy być może na ziemi po Żydzie, ale nie udało mi się tego potwierdzić ani znaleźć nazwiska. Wiem, co się stało z Żydami z mojej wsi. Wiem, jak ginęli. Byli też tutaj wszędzie, pamiętajmy, Cyganie. Mówię Cyganie, bo tak się o nich mówiło wtedy i tak się nazywali. I oni też cicho zginęli w ciszy. I też nikt nie zadawał sobie specjalnie trudu, żeby pamiętać ich imion i nazwisk. To byli najmniej ważni ludzie, mi się wydaje, właśnie ta wiejska ludność żydowska, cygańska, tych terenów. To byli najmniej ważni ludzie, którzy ginęli bez śladu i po prostu rozpływali się w powietrzu. Nie zostawili po sobie we wsiach żadnych materialnych śladów, ani żadnych dokumentów osobistych. W takich Gorlicach na przykład 51% ludności było przed wojną żydowskiej. I oczywiście wszyscy zostali zamordowani, ale Gorlice o nich w ogóle nie pamiętają, czy też nie chcą pamiętać, ale myślę, że raczej nie pamiętają, bo tu nastąpiła bardzo duża wymiana ludności. To miasto z naftowego, inteligenckiego w dużej mierze przed wojną zmieniło się w miasto, które zasiedlili przede wszystkim chłopi z okolicznych wsi. Ludność chłopska. Więc też może trudno mówić o jakiejś pamięci, ale też nie ma woli odkrycia prawdy o tych Żydach i pamiętania o nich. Łatwo jest mówić o ludziach, tak sobie myślę, którzy zostawili po sobie dużo śladów. Śladów w postaci dokumentów osobistych, mieli znane nazwiska, robili ważne rzeczy i zostali zapamiętani przez historię, przez duże H. A dużo trudniej mówić o ludziach, którzy właśnie nic po sobie nie zostawili. No więc był tu bardzo bogaty świat żydowski. No tutaj w tej okolicy Galicji Zachodniej, już nie mówiąc oczywiście o wschodniej Galicji, wiele miast było w przeważającej mierze albo przynajmniej pół na pół polsko-żydowskie. Tak samo w Gorlicach i w okolicach Gorlic. W Gorlicach w ogóle Żydzi pojawili się później ni w różnych wioskach naokoło nich i z tych wiosek dopiero ściągnęli na przełomie XVIII i XIX wieku do Gorlic. I ten cały świat zniknął. Po Żydach wiejskich, takich jak moi sąsiedzi wołowieccy, ślad zaginął. Oni tu po sobie nic nie zostawili. Jedynie na przykład we wspomnieniach Romana Reinfussa, wybitnego etnografa, zachowało się wspomnienie jego rozmowy z żydowskim karczmarzem z Wołowca. Czy jakaś sierpniówka przeciwko obywatelowi polskiemu, który wydał jednego z Żydów wołowieckich. Czy też właśnie jakieś inne dokumenty w Yad Vashem na przykład. Ale to tyle. Żadnych materialnych śladów. W Gorlicach, gdzie było 51% Żydów przed wojną, zostały te materialne ślady, owszem, natomiast nie została żadna pamięć, tak samo jak po tych Żydach wiejskich. Nie mówi się o tym, nie pamięta. W muzeum ostatnia wystawa poświęcona Żydom, obywatelom gorlickim i obywatelkom, którzy stanowili ponad połowę tego miasta, trwała dwa miesiące i była w 1993 roku. W podziemiach muzeum przechowuje się fotografie, Owszem, kilkuset Żydów. To są zdjęcia do […], ale nikt nie wpadł na pomysł, żeby pokazać je szerszej publiczności z jakimś komentarzem naukowym. Więc tak to tu wygląda. I o tych gorlickich Żydach i Żydach właśnie wiejskich z okolic Gorlic, Żydach górskich, będę więcej mogła powiedzieć za jakiś rok, kiedy skończę pisać książkę. Ale tak, tak, tak, tutaj dużo grup etnicznych zniknęło, dużo ludzi zniknęło z tych terenów po wojnie i w czasie wojny. I co najmniej trzy narodowości. I ta pustka jest potrójnie pusta i bolesna.

[Michał Nogaś] Czy twoje badania terenowe, takie nazwijmy szukanie w archiwach, szukanie śladów, też pewnie w krajobrazie, tam w niewielkiej jednak społeczności, w Gorlicach i w okolicach, budziło albo budzi zdziwienie? Mówiłaś o tym, że pamięć powoli wygasała, że ślady są, ale trzymane w piwnicach muzeum, że nikt nie chce albo nie chciał przez długi czas otwarcie mówić o tym, że Żydzi byli wśród mieszkańców tej części obecnej Polski. Czy trafiłaś na zrozumienie, czy raczej na zdziwienie, po co to pani?

[Monika Sznajderman] Ja nie kontaktuję się aż z taką ilością ludzi z Gorlic, bo ci, którzy wiedzą, że piszę taką książkę, to są do niej bardzo przychylnie nastawieni. Ale to są ludzie, którzy są świadomi tego, jak było i co się z tymi ludźmi stało. Ale na przykład na forach pojawiają się straszne rzeczy. Na przykład jakiś czas temu gmina żydowska sprzedała starą chasydzką synagogę w Gorlicach, która była synagogą oczywiście do czasu wojny, w czasie wojny Niemcy trzymali w niej zwierzęta, konie, samochody, a po wojnie była budynkiem straży pożarnej i w strasznym stanie, totalnie zdewastowana, została sprzedana jakiemuś inwestorowi prywatnemu, który ją zburzył, na jej miejscu postawił zupełnie inny budynek, który tak jakby to było miejsce przeklęte od kilkunastu lat stoi pusty. Ale dlaczego o tym mówię? Dlatego, że jak były rozmaite ankiety na forach, dyskusje na forach gorlickich o tym budynku tej straży pożarnej, zanim zostało zebrane, no to się okazywało, że w ogóle nikt nie wiedział, że tam wcześniej było coś innego. A jeden człowiek nawet powiedział, napisał, no odnosząc się właśnie do postu o tej synagodze, no a po wojnie przynajmniej stała się użytecznym budynkiem czy czymś takim. No więc, no tak jak wszędzie, po prostu są ludzie, którzy rozumieją i są ludzie, którzy nie chcą rozumieć i nigdy nie zrozumieją. I nie mam nadziei, że jakoś przekonam ludzi do tego, żeby sobie wyobrazili tamten świat i domy, które zbudowali Żydzi, w których oni teraz mieszkają i różne inne rzeczy, które zawdzięczają tamtym właśnie mieszkańcom. No ale wiem, że do wielu ludzi trafię i to ma szansę coś zmienić.

[Michał Nogaś] Powiedz proszę na koniec jeszcze, bo rozmawiamy o połemkowskim, o pożydowskim. Los zapewne tak sprawił, że niektórzy z przodków obecnie żyjących ludzi, pochodzących stamtąd, myślę o Łemkach czy o Żydach, przeżyli czas Zagłady, czas II Wojny Światowej, wysiedleń. Czy zdarza się, że oni wracają tam do was, w wasze okolice i próbują odnaleźć ślady swoich bliskich?

[Monika Sznajderman] Ostatnio był mąż Kamali Harris, którego prababci rodzina jest z Gorlic. Tak, to tak a propos powrotów.

[Michał Nogaś] To nas wynosi do świata najważniejszej polityki międzynarodowej.

[Monika Sznajderman] No oczywiście, wynosi nas, tak.

[Michał Nogaś] Czegoś, co jest top of the top.

[Monika Sznajderman] To było wielkie wydarzenie tutaj w Gorlicach. Wracają pojedynczy ludzie, pojedynczy potomkowie przyjeżdżają. Męczą na przykład burmistrza o drogę na cmentarz, której właściwie nie ma cały czas. Tak, no przyjeżdżają oczywiście i przyjeżdżają Rusini, czasami zachodzą. Zawsze przyjeżdżają w okolicach właśnie tej Watry Łemkowskiej, która tak się składa skończyła się akurat wczoraj. Zawsze jest w lipcu. Wtedy naprawdę ściąga bardzo dużo ludzi, Łemków z całego świata. Pewnie to przystopowało trochę przez pandemię i pewnie teraz mniej przyjeżdża, ale jeszcze parę lat temu to byli naprawdę ludzie i z Kanady, i ze Stanów, i ze Słowacji, i z Ukrainy, to oczywiste. Teraz z Ukrainy jest też trochę trudniej. Więc tak, to jest takie miejsce, do którego potomkowie wracają, bo jest to dla nich miejsce ważne. Szukają swoich śladów. Ja jestem na kilku grupach, galicyjska genealogia na przykład. Więc szukają swoich śladów, obserwuję to. Pytają, czy ktoś może znał. Więc tak, jest taka potrzeba. Oczywiście jest taka potrzeba poznania przeszłości. Oczywiście nie mówię o tych, którzy z kolei uważają, że Polska to jest jeden wielki cmentarz i tu nie należy nigdy już wracać.

[Michał Nogaś] Mieszkasz Monika, wspólnie z Andrzejem, w zupełnie wyjątkowym miejscu, dlatego że u was tych po jest wiele, bo to jest połemkowskie, pożydowskie, ale kiedy się jeździ po cmentarzach w waszej okolicy, to są tam też groby żołnierzy różnych armii z czasów I Wojny Światowej, zwanej Wielką Wojną, więc właściwie mnogość tych światów, o których wciąż należy opowiadać, to jest ta przestrzeń wasza.

[Monika Sznajderman] Tak, to miejsce jest tak wielowymiarowe. Ma tyle takich barwnych rzeczy w historii, barwnych w sensie ciekawych, godnych opisania. To też jest pewnie jeden z powodów, dla których nas to życie tutaj tak kręci, że właściwie jest to nieustanna, też taka podnieta do badań intelektualnych, do badań historycznych, do poznawania historii właśnie. Właśnie jestem w przededniu pisania w ramach mojej książki o tej Wielkiej Wojnie, bo tutaj to jest takie wydarzenie formacyjne najważniejsze i Bitwa Gorlicka to jest taka oś, wokół której obraca się życie Gorlic. Co roku w czasie Dni Gorlic odbywa się rekonstrukcja tej Bitwy Gorlickiej. Przepraszam, że tak się trochę śmieję, ale nie popieram ani nie wierzę w rekonstrukcję, ale dla ludzi tutaj to jest najważniejsza rzecz, jaka się zaznaczyła w historii tego miasta. Wynalezienie lampy naftowej i Bitwa Gorlicka.

[Michał Nogaś] Tak mówiła Monika Sznajderman, która była czwartą gościnią cyklu rozmów w ramach podcastu „Życie na cudzym”, przygotowywanego przez Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Bardzo Państwu dziękuję za spotkanie. Dziękuję Tobie Moniko przede wszystkim.

[Monika Sznajderman] Dziękuję bardzo Państwu. Dziękuję Michał.

[Michał Nogaś] Przypominam o książce „Pusty Las” i czekamy na książkę o Żydach z okolic Gorlic, o tym co po żydowskie, bo o połemkowskim możemy już czytać. Wiele różnych po, jak mówiłem, się spotyka w tamtym miejscu, ale za tydzień ostatni odcinek naszego cyklu i będziemy rozmawiali o takim pojęciu, które skonstruowała na potrzeby swojej książki o 1945 roku Magdalena Grzebałkowska. Będzie o tym mówić, wyjaśniać, będzie się z tego tłumaczyć, więc już dziś zapraszam. Monika Sznajderman i Michał Nogaś, Program Trzeci Polskiego Radia. Do usłyszenia.

Cykl podcastów Życie na cudzym realizowany jest w ramach programu towarzyszącego wystawie czasowej w Muzeum POLIN "(Po)żydowskie. Sztetl Opatów oczami Majera Kirszenblata". Jej współorganizatorem jest Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce, a mecenasami Taube Philantrophies, Fundacja CBRAT ku pamięci Józefa i Miriam Ratnerów oraz Jankilevitsch Foundation.